

## ROZDZIAŁ X

Drugi dzień z rzędu spędził na klęczkach. Nie miał pojęcia ani gdzie się znajduje, ani dokąd zmierza. Nie wiedział też, po co. Co jakiś czas osłabiony upał umysł przypominał mu: *znajdź obóz pod Białym Miastem. Znajdź obóz pod Białym Miastem.* W jego ustach nie było ani kropli śliny. Mięśnie zaczynały odmawiać posłuszeństwa i nawet powolne przemieszczanie się było problematyczne. Mimo wszystko znajdował się już blisko celu.

Był jedynym ocalałym z oddziału prowadzonego przez Hilberta Kamiennego. Tylko jemu udało się uciec z krwawego pola bitwy, jakie zostawili po sobie czarni jeźdźcy. Ich ciemne oczy były jego ostatnim wspomnieniem. Oczy diabła. *Tak, właśnie takie oczy ma diabeł.* Pamiętał, że mieli miecze z niezwykle lekkiej, giętkiej stali. Rozkawałkowały zbroje, rozrywały kolczugi. Wbijały się w wnętrzności jak nóż w masło. A on przetrwał tylko dlatego, że skutecznie udawał trupa. Gdy tylko dźwięki uderzającego o siebie metalu ucichły zebrał się na odwagę, by rozejrzeć się wokół. Nie przeżył nikt. Nie pozostało mu nic innego jak udać się tam, gdzie miało nastąpić przegrupowanie. Wyjął z dłoni poległego towarzysza resztki pustynnego lisa i zjadł, by nabrać sił. Z obozowiska zabrał także resztki jedzenia, które taszczyli ze sobą aż z północnych krain. Tak przeżył kilka kolejnych dni.

Pałaca kula ognia po raz kolejny oślepiła Anzelma swym blaskiem. Najpierw ogarnęła go czerwona jasność, później zawroty głowy. Na końcu ciemność. Gdy się zbudził, kula znikła już za horyzontem, a on był wolny. Przynajmniej tak mu się zdawało, bo z czasem zawładnęły nim cierniste, suche badyle, których kolce rozrywały szatę i kaleczyły ciało. Chwile później dołączył do nich także mrok i chłód. Noc była zimna jak morska woda w głębinach. Cudem przetoczył się na plecy. Otaczały go gwiazdy. Dokładnie takie same, jak w Balchu. Rozpoznawał gwiazdozbiór Dobrego Rycerza, Maga i Kasji – jednej z Cór Niebios. Ostatnim, co widziały przed zaśnięciem jego zapadnięte oczy, był jajowaty księżyc pokryty plamkami. Obudził się, a pierwszym odruchem było nerwowe rozglądnięcie się wokół i rozpaczliwe próby przypomnienia sobie, jak się tu znalazł. Leżał teraz na brzuchu. Suche źdźbła trawy drażniły jego nos. Za każdym razem, gdy kichał jego twarz oblepiała się flegmą, do której przyklejał się piach. Chciał się podnieść lub chociaż wytrzeć twarz, ale wycieńczenie mu na to nie pozwalało. Przeleżał tak do wschodu słońca.

Dopiero wtedy był w stanie się poruszyć. Drżące dłonie z trudem unosiły ciężar ciała, ale wkrótce się udało. Mógł się już rozejrzeć. To, co zobaczył wydało mu się mirażem. Na wzniesieniu daleko przed nim piętrzyły się białe mury, a to, co było ponad nimi, niemal dotykało chmur. Wielka biała kopuła wdzierała się w niebo, jakby zamierzała je dźgnąć. *Białe Miasto*. Gród wcinał się w morze na malutkim kawałku lądu. A Anzelm znajdował się w pobliżu miejsca, w którym wody Zatoki Długiej wdzierały się do morza. W oddali zobaczył także setki błękitnych punkcików, które musiały być jednym z obozowisk Gorana. Jedyne co musiał zrobić to doczołgać się do nich. Zajęło mu to kilka słonecznych godzin. A potem zemdlął znów. Obudziły go wstrząsy. Ktoś gwałtownie poruszał jego ciałem i mówił coś. Zdecydowanie za głośno.

Znajdował się w obozie Kurta Południowca, a tym, który nad nim stał, był nikt inny jak właśnie Kurt Południowiec w towarzystwie dwóch rycerzy.

- Jak się nazywasz? – zapytał go.

Anzelm z Balchu. Tak się kiedyś nazywał. Teraz nie pamiętał swojego imienia.

- Wody... – wychrypiał.

Jego twarz była porozcinana przez żdźbła trawy. Oczy miał napuchnięte i zmrużone. Ubranie wyglądało nie lepiej – z płaszcza zostały strzępki, zbroja straciła większość elementów, a spodnie były mokre w kroku.

- Zawołajcie Matki Życia – zarządził Kurt swoim kompanom.

Sigmund wrócił w towarzystwie dwóch kobiet. Miały jasnoszare suknie z długimi, podwiniętymi do łokci rękawami. Ich końcówki podtrzymywały związane na kokardkę troczki. Wierzchnią warstwę ubioru stanowiły białe, sztywne fartuchy, zebrane na wysokości pasa sznurem w podobnym kolorze. Głowy osłaniały kaptury stanowiące jedność z sukniami. Kobiety bez najmniejszych śladów obrzydzenia pochyliły się nad leżącym i uniosły go razem, jakby ważył niewiele. Kurt i jego kompani byli przyzwyczajeni do takiego widoku. Matki Życia nie potrafiły walczyć, ale siłą i wytrzymałością nierzadko przewyższały mężczyzn. Zaniosły Anzelma do namiotu-lecznicy, nie prosząc nikogo o pomoc. To było ich zadanie. Tylko ich. Położyły go na podwyższeniu, dzięki czemu jego bezwładne ciało leżało na wysokości ud. Nieustannie jęczał i pociągał nosem. Tarja zrosiła mu czoło i usta wodą, a Simona zaczęła zdejmować buty.

Zza podwiniętego wejścia przyglądał się im Kurt. Jego stopy znajdowały się tuż za niewidzialną granicą, która oddzielała wnętrze namiotu od

przedsionka. Wiedział, że kobiety nie pozwolą mu wejść dalej. Ciemnowłosa Tarja podeszła do niego i nie spuszczać wzroku z rannego wyszeptala:

- Wiesz, że nie przeżyje.

- Już kopią dla niego grób... Ale postaraj się utrzymać go przy życiu. Może powie coś ciekawego. Mogę wejść? – zapytał, choć doskonale znał odpowiedź nim zadał pytanie.

- Oczywiście, że nie.

Kobieta odsunęła się od niego i wróciła do pracującej Simony. Rozebrały swojego podopiecznego do naga i umyły wilgotnymi szmatkami. Na czole, pachwinach i pod pachami położyły chłodne kompresy, a biodra nakryły białym prześcieradłem. Choć doskonale wiedziały, że nie ma to już większego znaczenia, wymasowały dokładnie całe ciało Anzelma, chcąc ulżyć mu w cierpieniu. Ich dłonie były gładkie i miękkie od częstej styczności z oleistymi maściami.

Kurt obserwował ich pracę z rozczuleniem. Uwielbiał takie kobiety. Porażały swą dobrocią i bezinteresownym oddaniem. Były jednocześnie silne i bezbronne. Może trochę zbyt chude, jak na jego gust ale nadal wspaniałe. Pracowały jeszcze kilka słonecznych godzin, a Kurt z braku innych zajęć przyglądał im się z zadowoleniem.

Po pewnym czasie znów zbliżyła się do niego jedna z kobiet, tym razem ruda Simona. Miała włosy zaplecione w niesamowicie gruby i długi warkocz, który teraz zwisał z prawego ramienia i opadał obok piersi.

- Masz ostatnią szansę, by z nim porozmawiać – oznajmiła.

Wyszła z nagrzanego namiotu, a tuż za nią podreptała druga Matka Życia. Kurt poczuł nagłą ochotę, by którą z nich klepnąć w kościste pośladki, ale widok drgającego konwulsyjnie, niemal nagiego rycerza odebrał mu chęci. Podeszedł do niego z wolna, starając się nie wystraszyć swoją nagłą obecnością.

- Jestem Kurt i zwą mnie Południowcem – przedstawił się wreszcie.

Odpowiedziało mu zdezorientowane spojrzenie głęboko osadzonych oczu.

- Dowodzisz tutaj – odgadnął leżący. – Nie ma tu Gorana?

- Obóz Gorana znajduje się na wzgórzu, na przeciwko Białego Miasta. Możliwe, że je widziałeś... Jest wystarczająco blisko, by wszystko kontrolować ale i wystarczająco daleko, by nie groziło mu nic ze strony czarnych jeźdźców z Muszli.

Słowa „czarni jeźdźcy” sprawiły, że ciało Anzelma z Balchu zaczęło drgać jeszcze mocniej niż przed chwilą.

- To czarni jeźdźcy nas zaatakowali...

*A któżby inny?*, pomyślał Kurt.

- Jak wyglądali? – zapytał, by podtrzymać przytomność umysłu rannego. Anzelm charknął kilka razy.

- Oni wszyscy wyglądają podobnie... - Jego język był suchy i obrzęknięty, przez co trudno mu było mówić. - Byli ciemni, jakby wysmarowali się łajnem i mieli osmolone oczy. Więcej nie pamiętam. - Polizał popękane usta.

Po chwili drgawki zawładnęły nim ostatecznie. Był to widok tak żaloszny, że Kurt nie zdecydował się na kontynuowanie rozmowy. I tak nic z niej nie wynikało. Po wyjściu z namiotu zobaczył Tarję i Simonę, które starały się domyć swoje śliczne dłonie w miedzianych misach z wodą.

- Umiera – podsumował bez emocji.

Kobiety zerwały się na równe nogi i pobiegły do lecznicy. Siedziały nad Anzelmem jeszcze całą dobę. Jego oczy były zapadnięte, a skóra utraciła elastyczność. Próbowwały napoić go wodą, ale każdy jej łyk niemal natychmiast zwracał. Kilka godzin później zmarł w wyniku odwodnienia.

Noce nad błękitnym obozowiskiem Południowca były lodowate a dni gorące, choć nie tak gorące, jak w głębi łądu, gdzie nie docierał wiatr z zatoki. Z orzeźwiającej, morskiej kąpieli korzystało niewielu, bo plażę gęsto pokrywały parzące meduzy. Z resztą, i tak mieli już po dziurki w nosie słonej wody, która wysuszała skórę i czyniła ją jeszcze bardziej podatną na słońce. Przynajmniej krajobraz był dużo piękniejszy niż ten, który oglądali ich bracia przybywający z Przesmyku. Wcięta w morze Dzielnica Północna otoczona była płytkimi akwenami, które urozmaicały liczne wysepki. Najpiękniejszego widoku dostarczało jednak Białe Miasto. Sponad jego murów wystawały strzeliste wieżyczki (naturalnie w kolorze białym), a ponad nimi górowała wielka (także biała) kopuła, zwieńczona szpicem w kształcie dłoni. Otoczenie wyglądało tak, jakby na świecie nie było żadnego innego koloru prócz odcieni bieli i granatu. Wody Zatoki Długiej były ciemnoniebieskie, otaczający je piasek – szarawy, a mury stolicy – piaskowe. Wyrzucone na brzeg martwe meduzy barwą przypominały szlam. Pewnego wieczoru Błękitni zebrali się razem, by wspólnie oszukać dręczący ich głód. Niebo było tak niebieskie, jak powinny być ich płaszcze, a księżyc przypominał przepiórcze jajo. Ślimaki nie występowały licznie na tych terenach, więc ucieszyli się, gdy znaleźli małą kolonię pod kamieniem. Pozbierali wszystkie, by zrobić z nich zupę. Nie była smaczna, ale przynajmniej można było zjeść ją w całości bez odpluwania drobnych kostek i chrząści. Nieporozcinane mięska ciągnęły się nieprzyjemnie przy każdym gryzie, a w smaku były jak stare błoto.

Nikt nie odważył się narzekać.

Kilku małych chłopców przebiegło wokół nich. Każdy z nich dostał po łyżce szlamowatej zupy. Byli to synowie Matek Życia. Nie było wiadomo, kto jest ich ojcem, ponieważ różni rycerze spędzali często noce z różnymi kobietami. Z tego powodu każde narodzone na wyprawie dziecko było przez wszystkich mężczyzn traktowane jak własne.

Najbliżej kotła siedział Kurt Południowiec. To na nim skupiała się uwaga wszystkich zebranych, ale nie była to uwaga życzliwa.

Od wielu dni nie działo się zupełnie nic. Kończyło się jedzenie, a słynny dowódca z Marhi nie dawał znaku życia. Ledwie raz odwiedził ich jego zaufany posłaniec, który bez większego przekonania zapewnił, że wszystko zmierza ku dobremu. Nie uwierzył mu nikt. Kurtowi sytuacja odpowiadała, ale wyglądało na to, że wszyscy zaczynają się niecierpliwić. Mieli przecież atakować miasto.

Wstał i z niepokojem rozejrzał się po twarzach najbliższych siedzących mężczyzn. Większość z nich nie wyglądała na zadowolonych.

- Posłuchajcie! Długo nad tym myślałem – w rzeczywistości nie myślałem ani chwili – i doszedłem do wniosku, że powinniśmy zaatakować jutro Białe Miasto.

Miał nadzieję, że odpowie mu entuzjastyczny krzyk tłumu, ale się przeliczył. Kompani patrzyli z otępieniem i ledwie kilku się uśmiechnęło. Ktoś splunął mu pod nogi przezutym ślimakiem, ale był to raczej gest zdziwienia, nie pogardy.

Po długich naradach wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że pomysł jest dobry. Katapulty zbudowane w Budwie już dotarły statkami, a zamówiona u górskich kowali stal dawno została przekuta w nowe miecze i topory.

Uczta – o ile można było tak nazwać skromną potrawkę z mięczaków – skończyła się szybko. Zadania dostały porozdzielane i nie pozostało już nic innego, jak odpocząć przed pełnym wrażeń dniem. Kurt także zmierzał w kierunku swojego błękitnego namiotu. Jego stary służący zdjął mu buty i wysmarował stopy i łydki maścią. Południowiec wołał, by uczyniła to któraś z Matek Życia, ale ona zajmowały się wyłącznie cierpiącymi. Przeszło mu nawet przez myśl, by następnego dnia dać się lekko zranic, byleby uzyskać zainteresowanie ze strony choćby jednej. Myśli przerwały mu słowa starca.

- Nie zamierzasz czekać na Gorana?

Leciwy sługa zdawał się być jedynym głosem rozsądku w pełnym

podniecenia obozie.

- Goran nie przybędzie – skłamał Kurt. – Musimy sobie radzić sami.

Sen nadszedł szybko ale jeszcze szybciej zaskoczył go poranek. Dzień rozpoczął się dźwiękiem trąbek, jeszcze przed wschodem słońca. Jeszcze nim czerwona kula wyłoniła się zza granatowych wód morza, wszystko i wszyscy byli gotowi.

Półkola katapult i ludzi otoczyły białe mury i zastygły w oczekiwaniu na to, co nieuniknione. Kurt nie miał ochoty znaleźć się w pierwszej linii, ale miał wrażenie, że wszyscy właśnie tego od niego wymagają. W końcu to on był sprawcą zamieszania. *A może faktycznie powinienem być czekać na Gorana?*, przeszło mu przez myśl.

I tak nie było już możliwości zmiany decyzji.

Dostrzegł, że brama Białego Miasta, która znajdowała się teraz niebezpiecznie blisko, zaczęła się z wolna otwierać. Południowiec nie czuł strachu. Najwyraźniej posyłali do nich kogoś, kto miał negocjować wycofanie katapult. *Może nawet nam coś dadzą i obejdzie się bez bitwy?* To byłoby rozwiązanie idealne.

Wyjechał do nich samotny jeździec na białym koniu. Odziany w czarną, zupełnie nie pasującą do otoczenia szatę. Jego wierzchowiec rżał złowrogo. Mężczyzna dzierżył w dłoni długi, zakrzywiony miecz. Podniósł ostrze do góry, jakby w przypiływie odwagi i chwały, chciał sam walczyć z całą armią Sług Niebios. Jego gest nie był jednak oznaką dumy czy bezmyślności. Był to znak do ataku.

Zafurczały liny katapult. Jak spod ziemi wytrysnęły kule ognia, które wzbily się w powietrze, a potem zaczęły opadać prosto na zaskoczonych jeźdźców i piechurów Kurta Południowca. Zdażyła dopaść ich już druga seria, a oni nawet nie wiedzieli, skąd przybywa smolista śmierć. Tylko ci, którzy stali na nieostrzelanych brzegach kompanii mogli dostrzec, co naprawdę się dzieje. Białe Miasto otaczał głęboki na dziesięć łokci rów, w którym ukryto katapulty oraz zapasy kamieni, oleju skalnego, soli i siarki. Wszystko to było dla oddalonych oddziałów Kurta zupełnie niewidoczne.

Czarny dym wdarł się w jasne otoczenie jak nieproszony gość, psując doskonały miraż. Skalny olej był gęsty i lepki jak miód, a ogień przyklejał się do pokrytej nim skóry z łatwością. Najszybciej topiły się odsłonięte dłonie. Czarne, skręcone w agonii palce co chwila zastygały, by nie poruszyć się już nigdy. Błękitni jeźdźcy dusili się swą własną paloną skórą.

Ci, którzy zachowali resztki przytomności schowali się za własnymi katapultami i zdołali je uruchomić. Kilka ciężkich, skalnych odłamków służących jako amunicja wpadło do fosy, która otaczała Muszlę i prawdopodobnie zniszczyła kilka machin wroga. Czarne, podpalone olejem skalnym kule atakowały ich teraz z dużo mniejszą częstotliwością.

- Co to jest, na Błękit?! – wrzasnął ktoś w pobliżu Kurta.

*Smolista śmierć*, odpowiedział w mu w myślach i natychmiast pożałował decyzji o ataku. Urodził się na Półwyspie, mógł przewidzieć, że leżące na oleju skalnym miasto będzie się broniło za pomocą kul ognia. Dlaczego nie wpadł na to wcześniej?

Chciał wyjąć miecz, ale natychmiast zdał sobie sprawę z bezsensu. Miałby machać mieczem w kierunku płonących skał, które na niego spadały? Dopiero po niecałej godzinie przyszło im się zmierzyć z żywym wrogiem. Gdy czarny, złowrogi deszcz ustał czarni jeźdźcy wypełzli wreszcie z okopów i z całą furią zaatakowali tych, którzy zdołali ocaleć. Kurt miał nieszczęście do nich należeć. *Musieli być przygotowani*, pomyślał wyciągając miecz. *Musieli wiedzieć, co planujemy. Ale skąd?* Jego ręka była zdrętwiała, jakby należała do kogoś innego. Kilkakrotnie poprawił ułożenie nadgarstka, by przywrócić jej sprawność. Przez ułamek chwili nawet czuł jakiś ból, ale w mgnieniu oka o nim zapomniał. U jego stóp kłębiły się zwłoki i osmolone resztki katapult, a koń skakał wysoko by je omijać. Najgorsze było to, że część trupów rozpoznawał. Jego kompani byli teraz zaledwie krwawą, czerwoną zupą, która wylała się na białą skałę. *Przecież to nie ma sensu.*

Miał na sobie pełną, płytową zbroję, która – choć kuta na miarę – teraz stała się klatką. Ważyła niemal połowę noszącego ją właściciela. Południowiec po raz kolejny tego dnia zaklął pod nosem i pożałował, że nie założył skórzanego pancerza, który wygrał kiedyś w Adrze. Tamto odzienie nie było tak szczelne, jak zbroja zamówiona w Budwie, ale przynajmniej nie krepowało ruchów i nie nagrzewało się jak metal. Było nawet zgrabnie dopasowane, nabijane ostrymi ćwiekami i wzmocnione woskiem. I leżało sobie spokojnie w namiocie.

Kute w północnym ogniu zbroje były idealne do walki w chłodnym klimacie, ale tu na południu stawały się niepraktyczne. Rozgrzany metal ranił spoconą skórę i powodował odparzenia. Temperatura pod hełmami zdawała się tak wysoka, że zapalała się od niej nawet pokryte potem włosy. Nagrzewała czoła i mąciła myśli. Do tego stopnia, że jakakolwiek forma myślenia wydawała się niemożliwa. Słońce było jak wino, którego nie chcieli już pić, a które ktoś wlewał im do siłą rozwartych gardeł. W

każdym razie otumaniało z niemniejszą siłą. Pijane były nawet konie, które potykały się co rusz o trupy.

Zatknął na czoło wizurę hełmu, by przynajmniej częściowo osłonić się od tego przykrego widoku. Błąd. W chwili gdy sięgał do skroni, jego koń zatrzęsł się nerwowo, a potem stanął dęba i zrzucił jeźdźca ze swojego grzbietu, bo ten zajęty hełmem nie trzymał się wystarczająco pewnie. Upadając poczuł pulsujący ból w lewym ramieniu. Gdy leżał, koń zdążył go jeszcze trącić swoim zadem, a potem spłoszony uciekł. Nad Kurtem szalała teraz zawierucha, a on starał się podnieść. Zdołał jeszcze przełożyć miecz do prawej dłoni.

Zdecydowanie lepiej posługiwał się lewą, choć wiedział, że to złe. Zarówno Słudzy jak i ludy południa wierzyli, że osoby leworęczne to wysłannicy demonów. Jemu udawało się ukrywać swoją przypadłość wszędzie poza polem bitwy, bo umiał trzymać miecz tylko w jednej dłoni. Nad jego ciepłym ciałem szalała zawierucha. Wszystko poruszało się jakby w zwolnionym tempie. Jego ruchy także się spowolniły.

Nim kula ognia przetoczyła się przez niebo, idealny kremowo-niebieski krajobraz Białego Miasta stał się żalonym, czarno-czerwonym polem. Jedyne niebo zdawało się pozostać nietknięte. Gdy tylko opadły czarne opary, oczom tych nielicznych, którzy przeżyli, ukazała się bezkresna, niebieska płachta, zwiastująca suchą śmierć.